

kradł — leżą przed wami dokumenta; żem wyzyskiwał — macie cyfry, rachunki; dowodzą, żem plany przywłaszczył — na co mi one? Ja swoją ziemię tak znam, jak duszę własną, a plany złożyłem w kancelaryi ojcowskiej, w Skomontach, tylko oni szukać nie chcieli. Niech kto pójdzie tam, w szafie ściennej je znajdzie i tu przyniesie...

— Działu żądają — spytajcie dlaczego?... Czy ja im granice zajędzam, czy w gospodarstwie przeszkadzam, czy bronię zmian i ulepszeń?... Ani czynem, ani słowem, ani myślą nawet nie wszedłem im w drogę... Nie zgwałciłem na pięć ojcowskiego działu. Strzegłem tylko całości tej spuścizny! Strzegłem, bo wiedzą moje ręce i głowa, jak to drogie i jaka siła tkwi w tej ziemi rodzinnej! I to jest mój grzech i cały występki!...

— Przeto się nie wstydzę!... Panowie obywateli! wyście sami nad rolę tą osiwieli, zgarbieli! Pobróżdził wam ten mozól czola, zrósł z duszą! A ja na was patrzyłem i na praojców pamięć, i tak czyniłem i czynić nie przestanę, gdyż shaubiłbym się i spodlił!...

— Domy macie, i mienia, i rodziny! I może wam we śnie kiedy stanęło, że domy piorun zburzył, a mienie, jak proch marny, poszło w rozsypkę! Jeśli ta zmora was kiedy trapiła, to spójrzcie na mnie: oto ja zmorę tę na jawie bezustannie w piersi noszę — i cierpię, ach, ja cierpię! Nie żał mi lat młodych, choć mówią, że jak szczęście piękne, i nie żał życia! Poświęciłem dla tej idei mojej i nauki, swobodę, i nie wziąłem dla siebie nic z tego, co synowie wasi mają, czem są bogaci! Wiek przeszedł — i wy myślicie, że rzucę teraz mój trud, odstąpię tego, com zdobył?

— Chcą działów oni — panowie! weźcie krew mych żył lepiej, rozedrzyjcie mnie w sztuki, w loch rzucicie na wieki — bo ja wiem, dlaczego oni działu tego chcą — i nie dam go!...

Urwał i czekał. Żaden trud i żadna męka nie wyczerpała go tak, jak ta spowiedź pierwsza, jak ta mowa jedyna — do ludzi.

Po zgromadzeniu od kilku chwil powiał jakiś szmer zmieszany — marszałek w ziemię wbil oczy, Illinicz chustką ocierał czolo i powieki, stary Rymwid w twarz oskarżonego utkwil przenikliwe oczy i wazy krecił, poważny i zamyślony; Olechnowicz i Radwiłowicz zeknęli głowy i coś szeptali, gestykulując, a syn marszałka wstał z kanapy od boku Witolda i zaczerwieniony, przejęty, postąpił wahał się w stronę Marka. A on zmęczony, dysząc ciężko, gryzł do krwi drgające usta i mienił się cały. Za okienkiem szępt cichy biegł doń z akcentem gorącego wrażenia:

— Teraz pan bez cienia i skazy! Teraz pan może milczeć. Żaden sąd winy nie znajdzie! Chodź pan prędzej — ja czekam na pana!

W milczeniu skinął głową i wnet zwrócił oczy do pokoju, bo w tejże chwili pani Czertwan płaczącym, desperackim tonem zawołała:

— Szanowni sąsiedzi! Dlaczegoż mój syn, Witold, ma być wiecznie pod kuratelą, bez swobody działania i tytułu własności? Przecież to jego, a on rozporządzać się ma prawo — już pełnoletni! Co komu do tego, co on z majątkiem swoim zrobić chce? To przymus i gwałt, to wyzysk! My nie potrzebujemy rad i kierownictwa i sami wiemy, co słuszne. Potrafimy zarządzić i utrzymać ziemię!

Rymwid ciężko wstał z miejsca i chmurny, uderzył po wekslach rozsypanych na stole i lakonicznie rzekł:

— A to co? Takż to rząd i utrzymanie? Jeden rok — i tyle już!

— On gwałtem dawał pieniądze, kusił, namawiał!

Marek nie potrzebował zaprzeczać, bo za Rymwidem podniósł się Illinicz i żywo zawołał:

— Przepraszam dobroduszko, ale ja sam by-

łem świadkiem, jak pani przyjeżdżała zimą do Feleccia i prosiła o radę i pomoc. Byłem u niego w interesie sprzedaży kartofli do gorzelni i siedziałem w sąsiednim pokoju.

— Jemu ojciec zabronił wtrącać się do nas, pod błogosławieństwem zabronił! Ojciec go znał i bał się tego okropnego charakteru!

Ksiądz nie wytrzymał, skoczył z miejsca.

— Pani dobroduszko! — zawołał — nie wspominajcie tak nieboszczyka! On go cenil i znał; dał dowód, powierzając Poświęcie, i błogosławił za jego szlachetne posłuszeństwo. Ja byłem przy konaniu i pamiętam. Witolda przestrzegał, by nie hulal i długów nie robił, bo go błogosławieństwo odstąpi, I słusznie mówił!

— Ja Marka Czertwana znam, panowie; pod mojem oczyma rósł i pracował. Grzeszny on, jak my wszyscy, ale tego, o co go oskarżają, nie popełnił, bo fałszu w nim nie ma, ani podstęp, ani podłość!

— Skryty on, dziki, nieufny, ale szlachetny i obowiązku żadnego nigdy nie opuścił! Pozory mylą, ale wy sądzcie głębiej; słuchajcie duszy i tego, co wam mówił! On nie kłamie!

— Ziemię sprzedawać, ciężki grzech! — zamruczał młodszy Olechnowicz.

— A próżniactwem i zbytkiem jej nie utrzymać wstyd! — dodał starszy.

Tu marszałek podniósł oczy i rzucił pani Czertwan piorunujące spojrzenie, zebrał jej papiery i odsunął niechętnie.

Zapanowało przygnębiające milczenie, przerywane popłakiwaniem wdowy i sapaniem księdza. Sędziowie nie wiedzieli, co dalej robić. Woleliby znaleźć się pod ziemią, jak wobec hardej, a spokojnej postawy młodego olbrzyma, którego głos zabrzmiał po dawnemu już głucho i posepnie:

— Proszę o wyrok, panie marszałku!

Spojrzeni po sobie pytająco; nareszcie stary Rymwid przybliżył się do niego i kładąc rękę na ramieniu, rzekł z lekkim uśmiechem:

— Młody człowieku! Wnuki mam takie, jak ty, i jechałem z silnem postanowieniem zmycia ci głowy po ojcowsku! No, tymczasem wynik taki, że przyjdzie nam ciebie przeprosić. Trudna rada, przepraszam, ale doprawdy sam sobie tej biedy napytałeś. Grzech było ludzi unikać i nie dać się wcześniej poznać. Siwej głowie wstyd przeproszać młodego, ale pomimo to rad jestem, że ciebie poznałem! No, daj swą zapracowaną rękę i nie patrz tak dziko. Przyszłe do ciebie mych chłopców na naukę, a mnie starego sam pamiętaj odwiedzić! No, zgoda!

Marek w milczeniu głęboko się skłonił przed starcem.

— Ja swej czarnej galki nie rzuciłem! — dodał Illinicz. — Ma pan we mnie zawsze szczerzego przyjaciela.

— My jechaliśmy nie wiedząc, o co chodzi! — zawołali jednym głosem Olechnowiczowie.

Marszałek siedział jak na węglach. On jeden nie miał nic na swe wytłómaczenie, bo on oskarżał surowo, bezwzględnie. Nigdy przodowanie obywatelstwu nie wydało mu się bardziej oplakaną rolą, jak w tej chwili.

Rozejrzał raz jeszcze papiery, pomyślał i ozwał się, zwracając do całego groma:

— Szanowni sąsiedzi! Nie przeczę, że fałszywie przedstawiono mi sprawę, a nie znalazłem zupełnie strony obwinionej. Bardzo mi przykro. Ale przez ciąg długiego życia stokrotnie się przekonałem, że niema na świecie człowieka kompletnie winnego i kompletnie niewinnego. Usterki być muszą w najszlachetniejszym charakterze i dobre strony w najlichszym. Przeto proponuję, aby w sprawie tej rodzinnej wydać następujący wyrok: Dział się odkłada na rok od dzisiejszej daty. Przez ten czas pan Marek zostawi bratu zupełną swobo-

dę działania i pożyczać mu pieniędzy, kupować ziemi, ani uzyskiwać swego kapitału nie będzie. Po roku zrobi się bilans stanu majątków i albo pan Witold spłaci brata, wówczas tenże praw swych ustąpi, albo, w razie niefortunnego obrotu i chęci lub potrzeby sprzedaży ziemi, pan Marek Czertwan może wymagać sprzedania mu jej, nikomu innemu. Warunki określili wspólna zgoda. Czy zgadzają się wszyscy na mój projekt?

— Zapewne, nie zlego... Pan Witold młody, może się ustatkować — rzekł Rymwid, spoglądając na studenta.

Cyniczny lekceważący uśmiech skrzywił twarz Witolda; złożył usta do gwizdania, ale się wczas pohamował i ziewnął tylko.

Pani Czertwan, blizka spazmów, milczała. — Niech tak będzie — potwierdzili wszyscy, otaczając stół do podpisu.

— I pan się zgadza? — zagadnął marszałek, zwracając oczy i mowę do okna.

Ale mu nikt nie odpowiedział.

Gdy wszyscy, uściśnięwszy dłonie Marka, wrócili na miejsca, wezwani głosem przewodniczącego, nagle z za okna, z pomiędzy wijących się roślin przechyliła się smukła postać Irenki Orwid. Zajrzała do wnętrza i podała stojącemu samotnikowi obie swe dłonie. Młoda jej, śliczna twarzyczka uśmiechnęła się doń całą promienna i serdeczny głos zawołał wesoło:

— A oto pan ma moją białą galkę olbrzymią, żeby wszystkie tamte zakryła...

Marek się zarumienil, pochylił ku niej w ukłonie, rączki znalazły się w jego dłoniach, i tak odosobnieni, stali minutę wpatrzeni sobie w oczy, nie mówiąc słowa.

Marszałek darmo pytał. Czertwan nie słyszał, nie uważał, i nie go w tej chwili nie obchodziło.

Zdziwieni milczeniem, obejrżeli się obecni, i ruch się zrobił wokół.

Ksiądz rzucił się pierwszy z powitaniem panią; Witold, zapominając o całej sprawie, poskoczył, gnąc się w prawidłowym ukłonie, pani Czertwan otarła lzy, uciszyła swój lament. Panowie inni, znający milionową dziedziezka z widzenia tylko, ukłonili się z daleka, obrzucając ją gradem krytycznych spojrzeń.

Zwróciła na siebie ogólną uwagę, odcignęła na siebie zajęcie całego grona. Nie zmieszła się wcale; z całą swobodą uchyliła głowę z powitaniem, tylko blask znikł z rysów, i rozradowanie cofnęło się w głąb oczu.

— Dziękuję, księżo proboszczu — odparła na jego zaproszenie, by spoczęła w pokoju. Wstąpiłam tylko za interesem na chwilę.

Tu zwróciła się do Marka, który nieco się usunął, i spytała:

— Czy zastałam pana Ragisa?

— Nie pani! W zaścianku od rana drzewo przyjmuje!

— Ach szkoda, że go niema! Przyniosłam mu prezent.

Sięgnęła za siebie, na ławkę, i położyła na oknie przedmiot jakiś okrągły w batystowej chusteczce.

— Czy wolno zobaczyć, co to takiego? — zagadnął Witold z umizgiem.

— I owszem, tylko ostrożnie, bo kole!

— Jeż! — krzyknął student, zaglądając.

— A to się stary ucieszy! — zaśmiał się ksiądz.

— Szczególne amatorstwo! — zauważyła lekceważąco pani Czertwan, otrzepując ręce.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

### Szkola Akuszerzy

Nauka Akuszerzy w języku Polskim m. podług praw i metod najnowszych amerykańskich. Po bliższe szczegóły i warunki proszę pisać

Dr. Józef Kozłowski  
4800 S. Ada St. Chicago, Ill.